



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60,
kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.
Ekspedycja główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebnera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1
sgr. 20.

Dwaj myśliciele francuzcy

Z XVIII WIEKU.

W długim żywocie swoim ludzkość niezliczone popełniła grzechy i błędy, wielokroć w otchłań nędzy się staczała, krzywd doznawała straszliwych i ciężkie ponosiła straty—i dziś jeszcze grzeszy i błądzi, na pastwę złego i nieszczęść wydana: przeczyć jednakże temu, że pomimo wszelkich grzechów, błędów, nędzy, strat bolesnych, nieraz nieprześlakanych, w całości życia postęp się przejawia; że rodzaj ludzki lepiej dziś żyje, niż żył przed wiekami, a nawet przed laty—wolno tylko tym, dla których święta władczyni umysłów ludzkich, Prawda, nie istnieje. Dla tych zaś, którzy za najwyższy zaszczyt ziemski uważają sobie słuzenie jej wierne i wytrwałe, postęp jest, a jest nie tylko ilościowy, przez przysparzanie coraz większej ilości owoców wszechstronnego trudu, ale i jakościowy, przez coraz większą owoców tych doskonałość. Porównajmy tylko życie dzisiejsze, a raczej jego materialne, umysłowe i społeczne warunki, otwarte dla wszystkich, z życiem wieków średnich: kto tu nie powie, że ludzkość dzisiejsza nie tylko nowem powietrzem, ale i jakby nową piersią oddycha? Mniej może dziś jest jednostek szczęśliwych niż było dawniej, ale to nie dowód żaden; bo jeżeli szczęście jednostki stanowi konieczny jej na ziemi interes, celem istnienia ludzkości nie może być szczęście składających je pyłów: miarę dobroci życia ogólnego daje rozumność współistnienia wszystkich, nie zaś sytość eudemoniczna każdego poszczegóło. Im wyżej stoi ilościowo i jakościowo ten spadek, który pokolenie schodzące z ziemi zostawia po sobie następującemu, tem lepszym też był jego żywot.

Ztąd ludzkość dzisiejsza niezaprzeczenie wyżej stoi od ludzkości średniowiecznej, i tylko niedołęztwo, odwrócone od ziemi, lub kalectwo pesymistyczne, powstałe z rozbicia się o ideały, może niewiedzieć tej oczywistości, o której natura sama, podbijana coraz bardziej pod władzę rozumu, gdyby tylko mowę ludzką miała, potężnym zaświadczyłaby głosem.

Sfera właściwa tego niezaprzeczonego postępu jest cywilizacja i kultura, pod którą—to ostatnią rozumiemy uduchowienie się nieustanne życia społecznego, spoteźnienie wiedzy i wzrost zamilowania do piękna. Cywilizacja i kultura, obie z natury swej kosmopolityczne, obie też mogą być bojącym trudem i spożywanym owocem wszystkich jednostek i wszystkich powszechności ludzkich na ziemi, a to bez względu na poszczególne położenia, na dolę i niedolę osobnych bytów ludzkich—i to, co się do samej tylko kultury i cywilizacji stosuje, sferom poza niemi leżącym bynajmniej się nie narzuca. Na granicy tych sfer kończyć się może, a częstokroć i powinno, zadowolenie z postępu i sama wiara w postęp. Jeżeli passymizm jest filozofią dusz niemocnych, to optymizm, rozlewający się ślimaczko na wszystko—optymizm nie Leibnizów, ale filistrów i Epikurejczyków—może się przyjąć tylko w umysłach naiwnych. Niewolno więc właściwej sfery przekraczać, bo wtedy prawda fałszem się stanie. Buckle, niewierzący w doskonalenie się moralności jednostkowej, bliższym jest prawdy, niż krzykacz, patrzący na dawną ludzkość tylko jak na trzode bydła i prawiący nam o doskonałości ludzi dzisiejszych.

Postęp w ludzkości dokonywa się w dwojakiej postaci: bywa powolnym lub gwałtownym. Rzadko kiedy ludzie iść mogą spokojnie, mierzonym krokiem, jak regiment wyćwiczony przez Fryderyka; postęp w ludzkości, niemając stałego wykładnika jak w matematyce,—miewa swoje podrzuty gwałtowne i zastoje. Następnym gwałtownego porywu bywa rządziej posuwanie się powolne niż zastój nagły; zdarza się jednak, że wskutek porywu wy-

twarza się nowa koleina i tą ludzkość spokojnie już kroczy. Nieomal zawsze, wskutek prawa reakcji, poryw gwałtowny przychodzi po długim zastoj. Nieraz krok dany na drodze postępu nie posuwa ludzkości naprzód, krępuje ją bowiem w działaniu dalszem i to, co było zrazu dobrem, okazuje się ciężarem, kulą wiszącą u nogi. W wiekach średnich naprzykład, wojny krzyżowe więcej się do zastoju niż do postępu przyczyniły; ale za to odkrycie Ameryki i nauka Kopernika były owemi nagłymi porywami naprzód, których największe nawet wstecznięcie nie zaprzeczy. Nowe podwoje otwarło dla umysłu ludzkiego, zapraszając go na herkulesowe trudy i platońskie biesiady, odrodzenie klasyczne, zespolone w XVI w. z reformacją. Odrodzić się miały podówczas wszystkie narody, ale odrodziły się rzeczywiście te tylko, które nie lękały się progu otwartego przestąpić. Reakcja, a za nią wojny religijne XVII w. sprowadziły nowy scholastycyzm i martwość, od której tylko Anglia—ta istotna przodowniczka w cywilizacji—wolną została. W czasach nowożytnych najsilniejszym ze wszystkich wstrząśnień jest Rewolucya francuzka; duch milionów gwałtownie tu na wyżyny się wdziera, jakby dla sprawdzenia słów Pisma „gwałtowników jest królestwo niebieskie“.

W tym ostatnim akcie ocucenia i porwania ludzkości, zapadającej już w bezwładność, uczestniczyli jako pierwszorzędni działacze dwaj myśliciele francuzcy, od których śmierci w roku bieżącym sto lat upłynęło. Żaden z nich na sam rozwój wypadków 1789 r. wpływu już wyrzucić nie mógł i nie wywarł, ale obaj oni wypadki te przygotowali, i jeżeli rok 1789 do ludzkości całej należy, bo cała ludzkość europejska z niego skorzystała, należeć też do niej powinni również i dwaj ci „budownicy ruiny“—jak ich Burke, pospołu z innymi burzycielami starego porządku rzeczy nazywa—Voltaire i Rousseau. Członkowie wielkiej rodziny ludzkiej, nie możemy zbyć milezieniem wielkiej rocznicy, która poruszyła umysły nie tylko we Francyi, ale na całym świecie.

cie, i obu tym ludziom poświęcimy tu krótkie wspomnienie, zaczynając od Voltaire'a, który i rocznicę miał wcześniejszą i wcześniej żyć i działać zaczął.

Franciszek Marya Aronet, w historii pod przybranem nazwiskiem „Voltaire” znany, urodził się w Châtenay w okolicach Paryża w r. 1694. Jako dzień jego urodzenia podają 20 Lutego lub 20 Listopada: prawdopodobnie pierwszy jest dniem przyjścia na świat, drugi dniem chrztu. Dziecię urodziło się bardzo słabowite i o życiu jego już wątpiono.

Stary Aronet był skarbnikiem w Izbie Obrachunkowej, posiadał znaczny majątek i syna wychował w dostatku umysłowym i materyalnym. Nie widać z najbezpośredniejszego świadectwa, z notat spisanych według wskazówek Voltaire'a, aby ojciec jego był człowiekiem wyższego umysłu; wpływ też matki, Małgorzaty, z domu Daumart, wcale się nie uwidocznił: zato z wszelkiem prawdopodobieństwem domyślać się można trwalszego oddziaływania na młodocianą, a nadzwyczaj wcześnie rozwiniętą, umysł ze strony księdza Châteauneuf, przyjaciela rodziny, a ojca chrzestnego Voltaire'a. Dziecko oddano do kolegium *Louis-le-Grand* w Paryżu, pod ster Jezuitów, którzy więcej robili dla oświaty we Francji niż u nas; tu zyskał chłopiec pierwsze a gruntowne przygotowawcze wykształcenie. Zdolnościami swemi zadziwiał ojców; jeden z nich, Lejay, przeżył w nim instynktownie „Koryfuszka deizmu”, drugi, Porée, jak mówi Condorcet, „dostrzegł w nim zaród wielkiego człowieka”. Obaj dobrze odgadli.

Ojciec przeznaczał syna na prawnika, a widząc go piszącego i deklamującego wiersze powziął ku niemu niechęć: parlament o wiele się panu Auroet wyższym od Olimpu przedstawiał. Inaczej zapamiętywała się na rzeczy Ninon de l'Enclos. X. Châteauneuf przyprowadził jej Voltaire'a; prawie już dziewięćdziesięcioletnia piękność, zobaczywszy oślicze rozumne i usłyszawszy o zamiłowaniu chłopca do nauk, zrobiła mu w testamencie legat „na książki”. Gdy Voltaire skończył kolegium, ksiądz Châteauneuf zajmował się stale umysłowym jego kierunkiem i wprowadził go w świat, aby się otarł i okrzesał.

Czy dobry uczynił wybór, zapewniając młodzieńcowi towarzystwo próżniaków z wysokiej arystokracji, jak ks. Sully, margr. de la Fare, książęta Conti i Vendôme? Wolno o tem wątpić; ale to niewątpliwa, że przez taki wybór zaszkodził zgodzie syna z ojcem i rozerwał jedność rodzinną. Młodzieniec przygnał do wszystkich powabów, jakimi nęciło życie w podobnej sferze, i nie mógł już wejść na drogę poważnego zawodu. Ojciec sarkał, upominał, gniewał się — wreszcie wygnał z domu. Mógł jeszcze wybaczyć pisanie i recytowanie wierszy; nie przebaczył lekkomyślności w obyczajach. W tym czasie właśnie młody Aronet przybrał nazwisko, pod którym już do potomności przeszedł; nie był to żaden pseudonym literacki, ale dziwactwo uświęcone ówczesnymi obyczajami wyższej szlachty, do której przecież i pan Aronet chciał należeć. W zakres tego świetnego towarzystwa, w którym dość oryginalnie kształcił X. Châteauneuf swego protegowanego, wchodzili jeszcze i książęta: Chaulieu, Courtin, Servien. Tamci byli od uciech i oglądy światowej; ci wytwarzali sferę wolnościowości, z której umysł pożądliwie a nieporządnie prawdę z fałszem skłóconą w siebie wchłaniał.

Wygnanie z domu rodzicielskiego, do którego powód bezpośredni dać musiała jakaś scena domowa, zamileczana przez życiopisarzów, złączyło się z podróżą Voltaire'a do Hollandyi i zarazem pierwszą jego miłością — dla niejkiej panny Dunoyer. Nieosobliwa matka tej panny rozerwała stosunek serdeczny, może jedyny czysty w życiu Voltaire'a. Młodzieńcowi powrócić kazano do domu, a pani Dunoyer ogłosiła jego listy, jakby chciała rozgłosu dla córki. Rozłączeni znali się jeszcze później w życiu: Voltaire starał się być dla niegdyś-kochanej uczynnym. Jak zwykle, panna wyszła za mąż za kogo innego, za niejkiego Winterfelda.

Powrót z Hollandyi nie usunął złego w stosunkach rodzinnych. Syn nie miał najmniejszej ochoty do prawnictwa: ojciec o prawnictwo nastawał. Dawny też tryb życia zmianie nie uległ. Zgoda

stała znowu nad przepaścią. Niepohamowany młodzieniec wybierał się już do Ameryki; prosił tylko o pozwolenie uściśnięcia kolan ojcowskich. Możemy przypuścić, iż czynił to z prawdziwego uczucia, nie zaś wyłącznie tylko w tej nadziei, że na kolanach ojcowskich znajdzie worek z pieniędzmi na drogę. Ostatecznie uległ i rozpoczął praktykę sądową; niedługo jednak w niej wytrzymał. Cała jego umysłowość w inną porywała go stronę.

Wszystko to działo się jeszcze za życia, a raczej za dogorywania Ludwika XIV (1715 r.). Jeden z przyjaciół domu Aronetów, Caumartin zabrał Voltaire'a do swej rezydencji Saint-Ange. Wytkłomaczył ojcu, że tu syn nareszcie rozmyśli się i zawód sobie obierze. Ale pobyt w Saint-Ange zwiększył jeszcze złe: tu właśnie Voltaire, rozgrzany opowiadaniem starca Caumartina, postaci bardzo znacznie zarysowującej się, powziął pierwszą myśl napisania *Henryady* i *Wieków Ludwika XIV*. To postanowienie wprowadziło go stanowczo na drogę twórczości piśmienniczej i nie go z niej już wyprzeć nie zdołało. Do owego czasu napisał był już tragedję *Edyp*. Pomijamy epigramata okolicznościowe, w których od samego początku miał wielką łatwość; z pomiędzy kilku drobnych utworów lirycznych, ze względu na osobę piszącego, szczególnie uwydatnić należy ode nabożną, w duchu najściślejszego wyznaniowym na konkurs, z powodu wzniesienia nowego ołtarza w Notre-Dame paryskiej, skomponowaną. Pisząc *Edypa*, którego później wielokroć poprawiał, miał lat osiemnaście.

Umarł nareszcie stary rozpusztnik, który sam za życia „Ludwikiem Wielkim” nazywać się kazał, wiedząc o tem, że go po śmierci nikt już tak nazywać nie zechce. Posypały się satyry i uszczypliwe wiersze wszelkiego rodzaju; pochlebcy i pokorni słudzy nieboszczyka i pani de Maintenon poprzedzili się w nieprzyjaciół i oskarżycieli. Voltaire'a też podejrzano o jakąś satyrę, która się surowszą od wielu innych wydała; a że podejrzanie było w owych błogosławionych czasach potępieniem, poszedł więc dwudziestodwuletni poeta do Bastylii. Na pewne niewiadomo jak długo tam siedział; w żadnym razie nie mógł być więźniem jeszcze w r. 1719; na rok bowiem przedtem przedstawiono jego pierwszą tragedję, a jako autor znajdował się już na pierwszym przedstawieniu. — Regent uwolnił go z powodu wykazanej niewinności, a Voltaire dowcipnie mu podziękował: „Proszę zajmować się nadal moim stołem, ale nie zajmować się już więcej mojem mieszkaniem”. W Bastylii czasu nie tracił; pisał *Henryadę*, wcześniej już może rozpoczętą, i poprawiał *Edypa*.

(Dalszy ciąg nastąpi).

VANINA ORNANO

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

przez

J. K. S.

OSOBY:

Hrabina Ornano.
Vanina, jej córka.
Sampierro Battelico, wódz Korsykańów.
Hugo Colonna, 60-letni Korsykanin.
Bianka, poufna sługa Vaniny.
Paolo, senator.
Sędziowie.
Giacomo i inni korsykańscy górale.
Lorenzo, stary sługa Sampierra.
Juanitto, paź Vaniny.
Azario.
Goście.
Żołnierze.

Rzecz dzieje się w połowie XVI wieku, w Livorno, w zamku hrabiny Ornano, i na Korsyce.

AKT I.

(Scena przedstawia wspaniały pałacowy krużganek — o marmurowe kolumny i balustrady, owijają się blusze i winogrodu zwoje. — Z prawej strony sofa, z lewej drzwi prowadzące w głąb pałacu hrabiny Ornano. W dali ogród).

Scena I.

Vanina siedzi. — Sampierro stoi obok niej.

Sampierro

Powiedz-że mi, o ukochana moja, jakim sposobem zdołałaś nakłonić szlachetną swą matkę, żeby przecież przystała na nasz związek?

Vanina

O panie — nie pytaj mnie dzisiaj o to... pomówmy o czem innem.

Sampierro

Dlaczego pani moja nie chce mi odpowiedzieć? Dlaczego nie mam o to pytać? Czyżby pamięć przebytych cierpień mogła cię zasmucić? Przecież, gdy słońce świeci, nie trwoży nas miniona już burza. Lecz może jest w tem jakaś tajemnica....

Vanina

Nie ma żadnej tajemnicy.

Sampierro

To powiedz mi jak to się stało. Za ostatnią moją tutaj bytnością, szlachetna hrabina Ornano, matka wasza, pani, była tak dla waszego sługi niełaskawą, że z rozpaczą w sercu wyjechałem ztąd, pożegnawszy panią myślami moich, nazawsze. Wtedy-to, po owym smutnem pożegnaniu, Florencya, gdzie cię pierwszy raz ujrzałem, bez ciebie, pani, wydała mi się smutną, pustą, bez życia — choć świetny dwór Medyceuszów zgromadził wszystko, co młode serce zająć i rozmarzyć mogło. Udałem się do Równy — chciałem o tobie zapomnieć; obraz twój tkwił ciągle w duszy mej, tęsknota za tobą wykradła krasę młodych lic; błady i smutny chodziłem po ulicach, a ci co spotykali mnie, grozą przejęci, usuwali się na bok, myśląc, że to duch Danta powrócił z krainy umarłych, aby odwiedzić mury, gdzie tęsknił, bolał i Boską komedję stworzył. Kiedy żal i tęsknota za tobą, pani, zamiast słabnąć, wzmagaly się codziennie, kiedy znękany tem, pragnąłem już letiejskiej wody niepamięci, przybiega do mnie, jak anioł niosący dobre wieści, twój młody paź, i oddaje mi list od ciebie, Vanino moja! — list, w którym mi pozwalasz wrócić, w którym mi piszesz, że mogę mieć nadzieję szczęścia.... O, ja dziś jeszcze — w szczęście to uwierzyć nie mogę.

Vanina

Tak, jeszcze dziś, w dzień ślubu, — jeszcze nie wierzysz?

Sampierro

Ah, wierzę już, wierzę, że dziś moją będziesz; lecz, powiedz mi, co za cud sprawił tę zmianę?

Vanina

Prawdę mówiąc.... to.... uprzedzenia matki mej, jeszcze nie całkiem znikły. Ale.... po waszym odejździe, mocno zachorowałam.... płakałam.... prosiłam.... przysięgałam, że do klasztoru wstąpię....

Sampierro

Więc aż takiego użyć trzeba było podstępów, więc groziłaś aż wstąpieniem do klasztoru?

Vanina

Nie była to płonna groźba — uroczyście przysięgałam, że strój zakonny przywdzieję i krata się oddzielę od świata, jeżeli....

Sampierro

O, czyż Sampierro godzien takiej miłości?!

Vanina

Jeden Sampierro tylko....

Sampierro

Jakże ci odpłacę za tyle szczęścia, Vanino?

Vanina (*spogląda na niego i mówi rozmarzona*)

Wiesz ty, że jeszcze zanim cię we Florencji poznałam, już wiele, wiele mówiono mi o tobie. O, mówiono mi o młodym bohaterze, co waleczny jak dawni w stalzakuci rycerze, jak Tankred, jak Roland, jak Cyd, broni ojczyzny swojej, Korsyki. Nieraz bywali u nas wędrowni z za Alp pieśniarze, co śpiewali pieśń o tobie, panie. Wielbili odwagę twoją, siłę twojego ramienia, chwalili twoją wspaniałość i szlachetność, ale mówili zawsze, że pod stalową łuską pancerza, zimne, twarde, stalowe chyba bije serce—bo dotąd, nigdy żadnej nie ukochałeś dziewczęcy. Wtedy to, gdy pieśń już umilkła, a strudzony pieśniarz hojnie obdarzon, udał się na spoczynek, ja długo, długo w noc, stałam oparta o okno swojej komnaty, a myśli moje, dotąd ciche jak gołąbki, nagle się z dna duszy zerwały, i biegły gdzieś w szeroki, nieznany świat, szukać rycerza o niezwalczonym ramieniu, o zimnym, stalowym sercu.... Pragnęłam poznać cię, panie—pragnęłam spotkać cię na drodze mojego życia....

Sampierro

I spotkawszy, przekonałaś się, że dosyć było spojrzenia oczu twoich, aby to zimne dotąd serce, rozgorzało płomieniem miłości. Oh, jakże ja kocham ciebie! (*Po chwili zamyślenia*). Ale, Vanino, czy też matka twoja pokocha mnie kiedy jak syna? Ja matki mojej nie znałam; nikt na mnie nigdy nie zawołał „synu!“, nikt ręki błogosławiącej na mem nie położył czoła.... Dziecięce lata moje smutne były i nie znały uśmiechu.... Czy matka twoja pokocha mnie?

Vanina

Pokocha i pobłogosławi za szczęście swojego dziecka.

Sampierro

Ale teraz, powiedz mi, co ma przeciwko mnie? czemu była tak nieprzychylną związkowi naszemu?

Vanina

Nie nie zarzuca, to tylko, że jesteś Korsykaninem, a u niej każdy Korsykanin—to barbarzyńiec pół-dziki, Korsyka—kraj ubogi i ciemny.

Sampierro

Tak.... a tu jeszcze Carlo Doria przybył z tak świetnym, od złota błyszczącym, orszakiem, prosił ją o twoją rękę....

Vanina

Toż nie było w tem nic dziwnego, że pragnęła i rozkazała, abym mu dała przychylną odpowiedź.

Sampierro (*z goryczą*)

O nie, w tem nic dziwnego nie było, owszem, to tylko jest dziwne, żeś ty odmówiła Dorii. Wszak Doria po rękę księżniczki, a nawet królowny, sięgnąć może.

Vanina

Niegdyś ja bardzo lubiłam młodego Dorię; wiesz, żeśmy się dobrze znali, kiedym jeszcze była dzieckiem; lecz go znienawidziłam od chwili, gdy mi powiedział, że jest wrogiem twojej ojczyzny, Sampierro.

Sampierro (*przechodzi się powoli, w zamyśleniu, a potem staje przed Vaniną i mówi z wolna*)

A jednak szlachetna matka twoja jest bardzo mądrą niewiastą.... Czemu ty jej nie usłuchałaś, Vanino?

Vanina

I ty pytasz, mnie o to?

Sampierro

Pomyśl, że Carlo Doria posiada najpiękniejszy pałac w Genui.... ty byłabyś, w tym pałacu: królową! Ty z diademem brylantów na lśniących puklach twych włosów, ty, otulona w cieniu rąbki koronek, ty, opromieniona blaskiem stu lamp,

co odbijają się w weneckich zwierciadłach i kryształowych żyrandolach, będziesz przechadzać się, chwytając okiem owe tężowe blaski, aż w duszy twój stanie się jasno i promiennie! Ty, kiedy cię już znuży gwar świetnej, wesołej uczty, kiedy ci będzie zaciasno w obszernych, złocistych komnatkach, — wychyliš się z okna marmurowego pałacu, zobaczysz na ulicach różnobarwne tłumy ludu, zobaczysz w morskiej przystani niezliczone maszty okrętów, co przywiozły ci bogactwa stu miast i krajów, usłyszysz radosne okrzyki wolnej, bogatej, szczęśliwej Genui, i pomyślisz sobie: „oto ojczyzna moja!“ i z dumą podniesiesz w górę brylantami uwienieczone czoło.... Takim byłoby życie twoje, gdybyś była żoną Dorii; — ze mną, z *wpół-dzikim* Korsykaninem, zaprawdę, inny los cię czeka.

Vanina

Tamtego nie żałuję, a tego się nie lękam.

Sampierro

Toś ty bardzo, o—bardzo odważna, Vanino.

Vanina (*z żywością*)

Znam dobrze twoją ojczyznę — znam wasze góry i skały, rzeki i doliny wasze. Ja kocham twoją ojczyznę.

Sampierro

Znasz? Czy ty byłaś kiedy w moim biednym kraju?

Vanina

Nie, nie byłam tam nigdy — ale pytałam tych, co z tamtąd powracali; musieli mi wszystko opisywać dokładnie. Znam wasze góry skaliste, i najwyższą z pomiędzy nich Monte-Rotondo, gdzie sosny na swe czoła z chmur zasłonę biorą, a z piorunem, drżącym jeszcze, rozmawiają. Wiem jak zbudowane jest Ajaccio i Bastia, jak zbudowane Corte przy ujściu pięknego Tawinianu. Wiem nawet o owych, w skale granitowej wykutych, wschodach, które od Corte do zamku prowadzą....

Sampierro

A czy wiesz także, luba, że tam na tej górze, przy Corte, stoi mój dom rodzinny?

Vanina

Tam? o tem nie wiedziałam.

Sampierro

Ale dom ojców moich nie taki jest, Vanino, jak ten, w którym tyś przyszła na świat! Tu ściany pokryte freskami, tu wysmukłe kolumny zakończone kosztami kwiatów, tu rzeźba misterna ozdabia drzwi i okna, a sklepienie śmiałymi łuki rzuca się w górę; tam, w domu ojców moich, pocerniałe od pożaru belki wspierają się na popękanych murach — tam, w domu ojców moich, na ścianach widać jeszcze krew mojej rodziny — tam, w domu ojców moich, jedyną ozdobą są kule z rusznic i armat geneueńskich, co w grubych ugrzęzły murach, i chwast, co, w szczelinach wyrosłszy, pozorem życia przysłania smutny grób przeszłości mojej. W takim to dom mam ciebie wprowadzić, żono moja!

Vanina

Śmiało tam wejdę na twem ramieniu oparta — i dobrze mi tam będzie obok ciebie! (*podaje mu rękę*).

Sampierro

A jednak szlachetna matka twoja, pani zacna i mądra, mówi, że Korsykanie są nawpół dziecy.... Wierzaj mi, słusznie mówi matka twoja. (*Zamyślenie*). Tak — niema u nas tej łagodności, tych miłych obyczajów, jakimi się sąsiedzi nasi szczycą. U nas wszystko jest ostre, surowe, twarde, pociągłą goryczą przesiąknięte. Może.... ha, może to dlatego, że jękami i przekleństwem napełnione powietrze, jak ciężka chmura wisi nad ojczyzną moją. Nie wiem — może dlatego.... Łaska, przebaczenie, miłosierdzie, litość, — te łzawo uśmiechnięte enoty chrześcijańskie, nieznane są Korsykanom. Tam prawo zemsty panuje — *Vendetta* uzbraja każde ramię sztyletem, *Vendetta* każde czoło głęboką bruzdą znaczy. Czy nie lękasz się Vanino?

Vanina

Nie, nie lękam się, mój ty jedyny! Prawo zemsty, to prawo sprawiedliwej odpłaty — a jeżeli krwią za krew, nienawiścią za nienawiść płacicie, toż i miłością za miłość — nieprawdaż, Sampierro?

Sampierro (*z umiesieniem*)

O tak! jesteśmy sprawiedliwi! Więcej niż to, jesteśmy wspaniali, rozrzutni w odpłacie naszej — toż i za miłość twoją zapłacę ci stokroć głębszą, silniejszą, stokroć gorętszą miłością.

Vanina (*z uśmiechem*)

A widzisz, że nieźle wyjdę na waszych prawach i zwyczajach.

Sampierro (*nagle*)

A jednak.... tak — jednak ja sam jestem jak twoja matka mnie zowie: *wpół-dzikim* Korsykaninem.

Vanina

Ty? ty najwaleczniejszy i najszlachetniejszy z rycerzy? ty, w którego głosie brzmi cudna uczuć muzyka, w którego słowach jest jakiś czar niepojęty, jak w pieśniach Petrarkil... Daremnie oskarżasz się: nigdy w to nie uwierzę.

Sampierro

Wierzaj mi, że tak jest, Vanino. Czasem budzi się we mnie jakby inna, gdzieś w głębi ukryta, do czasu uspiona, istota, i w piersiach się rozlega coś naksztaltu ryku lwa, choć usta moje milczą.... Oto, na przykład, wiesz, na owej uczcie we Florencji, gdzie był i Carlo Doria — kiedy ty z nim mówiłaś, kiedy się on ku tobie pochylił, aby tve *wpół-szeptane* mógł usłyszeć słowa — to lew zarzyczał we mnie nagle i zapragnął krwi; a za rozkazem tej drugiej, nagle zbudzonej, istoty, dłoń moja schwyłała za sztylet, aby.... słuchaj Vanino.... aby nie tylko *jego*, ale *oboje* was zabić!

Vanina (*przerażona*)

Ależ to straszne! cóż ja zrobiłam złego? cóż złego zrobił ci, Carlo?

Sampierro (*namiętnie*)

Co? W oczach ludzi trzeźwych i rozumnych nie wcale — ale nie w oczach moich. Twój uśmiech, spojrzenie, słowa: to najdroższe skarby moje; a on mi wydarł jeden uśmiech, jedno spojrzenie i słów twoich kilka — a tyś zmarnowała, tyś rzuciła mu sama, to co moje tylko było: jeden uśmiech, jedno spojrzenie, jedno choćby tylko słowo! Złe zrobiliście oboje. (*Vanina smutna — wspiera głowę na rękę*). Wiesz, pobladałaś i zadrżałaś cała, spojrzawszy w przepaść mej duszy! Lecz chcę, byś mnie poznała jakim jestem — chcę, byś mi powiedziała: czy mnie możesz kochać jeszcze?

Vanina

Kocham cię! A za tę dziwną w dniu ślubu nasze go rozmowę, — stokroć cię więcej jeszcze ukochałbym powinna. W świecie pełnym udawania, obłudy, faryzeuszowskiej świętości, w świecie gdzie ludzkie twarze są jak groby pobielane — ty jeden jesteś pełen prawdy i szczerości.

Scena II.

Sampierro, Vanina, drzwiami od pałacu wchodzi Biana.

Bianka

Szlachetna pani, hrabina matka wasza, przysyła mnie tu z prośbą, aby pani raczyła już pójść ubrać się. W kaplicy światła zapalone, kardynał Farneze przybył, orszak weselny gotowy już, oczekuje....

Vanina (*wstaje i drżąc opiera się o balustradę*)

Zaraz — zaraz idę....

Sampierro

Idź, idź o luba moja! Włóż na swe czoło diadem wianek mirtowy — ubierz się w tajemniczy,

wonny pomarańczowy kwiat, i otulona wflekką, obłożną zasłonę, powiedz wobec boga i ludzi, żeś moja.

Vanina

Iść trzeba.... zaraz idę....

Sampierro

Vanino?... Co tobie jest? Lękasz się?

Vanina

Nie—wzruszona byłam bardzo—lecz, to minęło już.—Do widzenia. Sampierro! (*Odchodzi wsparta na ramieniu Bianki. — Sampierro zadumany patrzy za odchodzącą. — Wchodzi stary sługa jego Lorenzo.*)

Lorenzo

Panie! stary Hugo Colonna oczekuje was w ogrodzie.

Sampierro (*z radością*)

Przybył? a, chwała Bogu, niech będzie! Wiesz Lorenzo, że zacząłem już tracić nadzieję; a on właśnie przybywa. Czemuż go nie prosisz do pałacu? Idę — idę.

Lorenzo

Panie, prosiłem go — nie chce wejść w te progi, i tylko z wami, panie, pragnie się rozmówić w ogrodzie.

Sampierro (*zdziwiony*)

Tylko ze mną? w ogrodzie?

(*Wychodzą obaj.*)

(*Dalszy ciąg nastąpi*)

POGA WĘDKA.

Okwitła paproć, nieświecą robaczki świętojańskie, uleciał czar tajemniczej nocy, w której szczęście według podania w ponurej głębi boru na błyszczącym jak gwiazda kwiatku osiada i nadaje mu moc wielką, przez tylu ludzi ciągle poszukiwaną napróżno.

Kto ów kwiat uszczknie o północy i nie uleknie się niezgo i nie zadrży ani na chwilę, ten pozyska drogi talizman, z którym trafi do skarbow ukrytych i stanie się moźnym jak sam... król Ówieczek w bajce, albo, sięgając w bliższą sferę porównań, jak cała rodzina Rotszyldów.

Jakkolwiek krezusowstwo nie przestało być zawsze jeszcze dla większej części ludzi ideałem, to nikt już zapewne tą mistyczną drogą nie wybiera się do niego; nawet nasz prostaczek w siermiędze prędzej po ćwiartkę losu na loteryę pójdzie do miasta, aniżeli o północy do lasu w wigilię Ś. Jana szukać kwiatu paproci. Fantazyja straciła swój kredyt, ślepo nikt jej nie ufa; bajka nawet dzieci już nie bawi; chyba ta, którą „złe języki“ po ulicach obnoszą, znachodzi jeszcze chętnych słuchaczy.

Upadają też stare zwyczaje, jak wszystko co się przeżyło; nawet ich poetyczność nie ratuje ich od zagłady, i śmiesznie wydałoby się naszym nowatorom żądanie, aby którąkolwiek starą pamiątkę zachować na świadectwo tej zamierzchłej przeszłości, w której się więcej ludzono, ale też i wierzone więcej.

A to na co?... szkoda drzewa na palenie sobótek, przy których się żadna pieczeń nawet nie piecze; szkoda czasu na rzucanie wianków na wodę, kiedy jest tyle innych sposobów i sposobików wybadania losu: azali da męża i jakiego?...

Nie płyną też wianki po Wiśle, jak bywało dawnymi laty, nie płyną sobótki po polach, jakby na dowód, że powiędło i pogasło co stare.

Może to i lepiej będzie, może myt przechodzi w rzeczywistość, może kwiatu paproci nie w lasach, lecz w życiu już szukać zaczynamy; może sami, nie mogąc wszyscy świecić słońcem, zabłyśniemy jak robaczki świętojańskie, roznoszące drobne światełka w ciemną gąszcz społecznego boru; może już nie daleko owa tajemnicza północ, w której dla ludzkości rozwinie się kwiat prawdy, co swoim blaskiem rozproszy ciemności — i wystraszy nietopozę i plazy, wylęgające się w niej swobodnie,

Może, może!... wszak życie nasze podobne jest do tej świętojańskiej nocy.

* * *

Znowu rok upłynął od chwili, gdyśmy na temsamem miejscu żegnali młodzież, co ze szkolnej ławy wybiegała na dwumiesięczny wypoczynek pod rodzinne strzechy. Czy też ten rok wszystkim przyniósł jakowe korzyści, czy posunął nietylko skazówkę na życia zegarze, ale też dopisał nową pozycję w rubrykach dochodu umysłowego?—Dzienniki nasze podały wykaz rozmaitych zakładów naukowych, z których dowiedzieliśmy się o postępach uczeni i uczennice przy egzaminie dorocznym; szkoda tylko, iż nie zaznaczyły stosunku, jaki zachodzi między ogólną ilością uczeni a wyborem promowanych na wyższy stopień. Dowiedzielibyśmy się odrazu, jak sędzić o naszej młodzieży szkolnej i jej pochyłości do nauki, — jaki procent przybywa społeczeństwu ukształconych obywateli i jaka summa inteligencji w przybliżeniu wychodzi ze szkół.

Już to położenie ucznia u nas, nie jest wcale zażdrości godnem, jeżeli zwłaszcza losy nie były dlań łaskawsze i nie pozwoliły mu urodzić się w warunkach przyjaznych, niezależnych, wolnych od strasznej walki o byt.

Podnosiliśmy już nieraz w tej mierze głos, nawołując do inicjatywy wszystkich tych, którym dobro młodszych pokolenia i przyszłości leży na sercu. Jednorazowe datki, choćby nawet tak hojne jak ostatni dr Perlmuttera, nie zaradzą wszystkim potrzebom; rokrocznie biedna młodzież ze wstydem wyciągać musi rękę do ofiarności publicznej i mimo to troskać się o jutro.

Chodzą pogłoski, że wreszcie grono prawdziwych filantropów zajęło się na seryo tą kwestyą żywotną, siłami wspólnymi, i że wygotowany został podobno projekt niesienia materyjalnej pomocy ubogiej, uczącej się młodzieży, na warunkach łączących humanitarność z moralnością.

Młodość nie może żyć z jałmużny, któraby jej ubliżała, nie może być pasywną: ale na rachunek przyszłości ma prawo zaciągać u społeczeństwa pożyczkę z zastrzeżeniem rzetelnego zwrotu.

Ta zasada byłaby najzbawienniejszą przy kierowaniu się szlachetną myślą filantropijną względem ubogiej młodzieży i sądzimy, że ona też rzeczywiście przyjęta została przy układaniu projektu, o którym wyżej wspominaliśmy.

Obyśmy tylko jaknajrychlej mogli potwierdzić tę wiadomość na podstawie spełnionego faktu, bo sam projekt—tu, gdzie z projektów góry sypać można, nie jest jeszcze najważniejszą częścią dzieła.

* * *

W Galicyi, dzięki wpływom intelligentnych jednostek z jednej i drugiej strony, zaczynają się układać zwaśnione żywioły. W zeszłym miesiącu odbył się we Lwowie pierwszy wiec żydowski, złożony z reprezentantów gmin wyznaniowych w zakresie spraw wyznania i organizacji porządku religijnego. I stała się rzecz prawie nie do uwierzenia dla tego, kto zna stosunki społeczne w Galicyi i wie czem przez długie lata była tam kwestya żydowska.

Wiec pod przewodnictwem dra Henryka Gottlieba trwał przez trzytygodnie; na nim, z całem poczuciem obywatelskich dla kraju obowiązków przemawiali żydzi różnych warstw, różnych przekonań i pozycyi społecznej, a grzmiące oklaski poparły niejako słuszość przemówienia prezydującego, który położył silny nacisk w swej mowie powitalnej na gościnność tej ziemi, co podała pomocną rękę tułaczemu plemieniu żydów w chwili krwawego prześladowania ich przez całą resztę Europy. Zaczny mówca na tym pięknym temacie osnuł całe swe przemówienie i z nauki dziejowej wyprowadził potrzebę dążenia żydów do zjednoczenia się z krajem.

Ktoby przypuszczał, że Galicya kiedyś pod tym względem stanąć będzie mogła jako przykład i wytrzyma porównanie z innymi!...

* * *

Oprócz wyścigów, małpujących sport angielski a kompromitujących się tem, że chłopskie chude

chabety szybciej od anglizowanych pędziwiatrów obiegają arenę na Mokotowskim Polu, oprócz jarmarku wełnianego błogosławionego w tym roku przez wszystkich właścicieli owiec, oprócz egzaminów szkolnych, zakończających trudy uczącej się młodzieży, w której interesie bardzo ważny artykuł zamieścił pan Ant. Aug. Egger w N. 24 *Ekonomisty*, domagając się reformy pod względem godzin wykładów i wakacji — posiada Czerwiec jeszcze jedną ważną kwestyę, t. j. przeprowadzkę i zmianę mieszkań.

Zdawałoby się, że w tak rozległym mieście jak Warszawa nie łatwiejszego jak zmienić mieszkanie; ktokolwiek zaś miał to nieszczęście być lokatorem a do tego lokatorem *minorum gentium*, ten wzniesie z westchnieniem oczy do nieba i boleśnie szepnie sobie w duchu:

— Panie, kiedyż się ulitujesz nad nami i wybawisz nas z niewoli kamieniczników!

Exploatacya miejsca stała się tak niebezpieczną manią panów właścicieli domów, że wkrótce uważać oni będą swych lokatorów za rodzaj ślimaków, którym budka powinna na pomieszczenie ciała wystarczyć.

Większa część tak zwanych nowych domów, stawianych na spekulacyę — pod względem higienicznym nie nadaje się wcale na pomieszkania dla ludzi szanujących swoje zdrowie.

Czyżby w naszym urzędzie budowniczym nie było kommissyi sanitarnej, któraby w pewnych wypadkach kładła swoje *veto* tam, gdzie wyraźne nadużycie spekulanta zagraża szkodą publiczną pewnej części ogółu?

Znamy w Warszawie domy o przepysznej powierzchowności, gdzie ekonomia miejsca została do tego stopnia zastosowana, że według obliczeń kubicznej zawartości, w lokalu składającym się z pięciu pokoi, niema dostatecznej ilości powietrza do oddechania dla dwóch osób, — a cóż dopiero dla całej rodziny! Są kamienice, w zeszłym roku zaledwie wykończone, gdzie dłużej nad kwartał nikt mieszkać nie może, bo wilgoć pod sam dach się wspina; są i takie, w których pan gospodarz kazał budowniczemu znieść strych i wystawić trzecie piętro, bez względu na to, że lokatorowie bieliznę chyba we własnych salonach suszyć będą.

Gdybyż tylko to! Ale zdarzają się gospodarze, co miejsca, z natury rzeczy przeznaczone na odgraniczenie i zamknięcie, rozdzielają, i jeszcze z nich jakąś klatkę wilgotną i pełną niezdrowych wyziewów urządzić potrafią.

Nie jestże to chciwość na komorne wymagająca już ukrócenia przez prawo?

Warszawa i tak ma dosyć zabijających warunków — żeby też chociaż mieszkać w niej można zdrowo, jeżeli już oddechać, stąpać bez szwanku i gasić pragnienia nie wolno!

Jeżeli dodamy do tego drożyznę mieszkań, która w dzisiejszych stosunkach tak dokuczliwie średniej i uboższej klasie uczuć się daje, to już chyba zażdrości trzeba będzie rakom, mającym swoje nory, albo kretom pod ziemią.

Podobno przedsiębiorstwo tramwajów otrzymało od władzy zatwierdzenie i w krótkim czasie rozpocząć ma roboty komunikacyjne, które zbliżą śródmieście do przedmieść. Bóg raczy wiedzieć, jak to wpłynie na cenę lokali; wszelako zdaje nam się, że gorzej niż się niektórzy spodziewają, a zresztą „nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje!“

Tak to u nas bywa najeźściej.

* * *

Dla ludzi klasycznej budowy ciała lub charakterystycznych rysów Towarzystwo sztuk pięknych znalazło u nas nowy rodzaj zajęcia, z którego, co prawda, za granicą oddawna korzysta tysiące osób pomagających... sztuce.

Artyści nasi nie mieli dotychczas żywych modeli do obrazów. Otóż dla zaradzenia z jednej strony potrzebie artystycznej, z drugiej zaś materyjalnej, Towarzystwo sztuk pięknych urządziło w swem biurze na Krakowskim Przedmieściu rodzaj kantoru pośredniczącego dla tych, którym natura nie odmówiła wyjątkowych warunków, z jakich sztuka skorzystałaby mogła. Niewielka to pomoc dla brukowych Apollinów, atletów, i gracy łaknących chleba, bo nasi artyści nie mogą tak dużo

łożyć na żywe modele, jak za granicą. Sztuka nie popłaca u nas, niestety: dość przejrzeć wykazy sprzedanych obrazów na wystawie.

Potrzeba chyba przejazdu Szacha perskiego, aby sprzedany został jaki obraz za większą sumę, jak na przykład „Widok Łazienek od strony amfiteatru“ który Nasr-ed-Din od spadkobierców ś. p. Marcina Zaleskiego za 1,000 rs. zakupił.

Będzie tedy w Teheranie sztuka polska reprezentowaną przez jeden przynajmniej pejzaż, na który Szach spoglądając, przypominać sobie będzie przyjemny pobyt nad Wisłą i, pokręcając wasy swoim zwyczajem, powtórzy zapewne nieraz słowa wyrzeczone do jednego z dygnitarzy niemieckich w Berlinie:

— Warszawa... ładne miasto, ładni ludzi! — jeżeli tego samego władca Persyi po wyjeździe z Paryża nie powie.

Wspomniałszy o Paryżu, choć kilku słowami dotknąć musimy kongresu literackiego, obradującego obecnie pod przewodnictwem Wiktora Hugo. Z zaproszonych Polaków jedyny p. Wacław Szymanowski, znany poeta, redaktor *Kuryera Warszawskiego*, reprezentuje nasze piśmiennictwo na kongresie; do niego przyłączyć się mieli Litwos (Henryk Sienkiewicz) i Sygurd Wiśniowski.

Kongres trwać będzie do 10 Lipca; ważne kwestye dotyczące stanowiska literatów pod względem moralnym, materyalnym i socyalnym — rozbrane zostaną w trzech kommissjach i poddane wspólnej dyskusji wraz z prawami autorskimi.

* * *

W końcu zeszłego miesiąca zmarł w Warszawie ś. p. Kajetan hr. Kieki, właściciel wielkiej fortuny, a jak się z testamentu pokazało, człowiek pełen obywatelskiej godności i filantropii.

Całe swoje mienie wynoszące podobno około półtora miliona rubli zapisał on Towarzystwu Osad Rolnych z warunkiem, aby nowa osada powstała w dobrach Orłowskich w Lubelskiem.

Wspaniału legat nieboszczyka, zabezpieczający wspomnianej instytucji niezależną przyszłość, stanowią dobra: Orłów w powiecie Krasnostawskim, Sobieszyn w Garwolińskim, Rzyce w Galicyi, willa pod Warszawą, domy przy ulicy Królewskiej i na Pradze, nadto kapitały w papierach publicznych.

Blizsze szczegóły testamentu nie są jeszcze publicznie znane dokładnie: wszelako krążą pogłoski podające w wątpliwość: czy Towarzystwo Osad Rolnych będzie mogło przyjąć zapis ś. p. hr. Kiekiego na warunkach w testamencie postawionych; zapisodawca bowiem włożył podobno za Zarząd Osad Rolnych liczne obowiązki, jako to: założenia muzeów, szkół, wzorowych gospodarstw, utrzymywanie pałaców w należytem stanie i t. p.

Gdyby tak było w istocie, obowiązki przekazane wolą nieboszczyka spadkobiercom byłyby rzeczywiście uciążliwymi, ale obejmowałyby w sobie zarazem wysoką zasługę obywatelską, od której nikomu, a zwłaszcza instytucji publicznej, mającej cele moralne — uchylać się nie wolno, chyba w poczuciu swej bezsilności, niepozwalającej godnie spełnić przyjętych na siebie obowiązków.

Miejmy nadzieję, że wszystkie owe przewidywane i przepowiadane przeszkody dadzą się szczęśliwie usunąć, a piękny czyn zacnego filantropa wyda w przyszłości jaknajlepsze owoce.

Rozumie się, iż ostrożności, energii i dobrej woli potrzeba wielkiej ze strony wykonawców testamentu, bo u nas, niestety, wszystkie te wielkie, filantropijne schedy mają tę fatalność, że zostają w zawieszeniu między niebem i ziemią, jak tego dowodem zapisy Staszica, Konarskiego, Zahorskiego i innych.

Żywi i umarli patrzą z westchnieniem, ale jedni nie umieją, drudzy już nie mogą ściągnąć tych prawdziwych owoców Tantalusa dla pożywienia nie-mi ogółu.

SĄSIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

W rok i kilka miesięcy po opisanych wypadkach, w Puszczy Kobryńskiej, na uroczysku „Tluste“ dawniej zwanem, wznosiła się nowa, obszerna chata z ogrodem, i koło niej coś jakby rozpoczęta trzebież nowiny widać było.

Miejsce to teraz, od wydartych niewielu zagonów, zwano Wyderką. Od jednego z większych właścicieli tych obszarów nabył szlacheć, człek już niemłody, niedrogi, włók kilkanaście, na których nie było nic, oprócz sosen, różnych zarosli, moczarów, błotnistego strumyka i piaskowatego wzgórk.

Ze mu się tam osiaść zachciało, dziwili się wszyscy, poczynawszy od tego, który tę ziemię sprzedał, i śmiał się z tego, co ją kupił. Jednakże w ciągu kilku miesięcy na pagórku piaszczystym, który tylko na tych płaszczynach mógł się zwać tak wspaniale, wzniosła się duża chata, niby dworek, potem szopek parę z chrustu i ogródek otoczony płotem; studnię wykopano — i Wyderka była gotową.

Mało tam kto zaglądał i wiedział co się we dworcu działo, a było koło niego cicho i pusto. Stara baba gospodyni, parobek nakuliwający, a sam właściciel, — podobno całą ludność składali.

Gościniec główny, idący przez puszcę, od wiekuistych czasów, o kilkanaście staj od Wyderki, lasem się kręcił, a z niego nawet chatę niebardzo widać było.

Od niego zaledwie dostrzeżona drożyna snuła się pomiędzy drzewami ku nowym zabudowaniom.

Któżby z czytelników naszych nie odgadł, że pustelnikiem na Wyderce był p. Strukezaszyc? Nie mógł on czy nie chciał uciekać dalej od swojego niegdyś kąta, szukał tu przytułku, a znalazł go umyślnie na pustkowiu, aby miał nad czem pracować i, pracując, o bólu zapomnieć. Z kilku ludźmi najętymi i koźmi kupionymi, sam chodził około budowania chaty, tymczasowo mieszkając z niemi w budzie ladajako sklecone; sam z siekierą do rąbania drzew pomagał. Niewiele pewnie zrobił, ale znużenie potrzebnem mu było i trud cielesny, który czasem serce uzdrawia.

Gdy nie było co robić, dawne czasy sobie, ze strzelbą chodząc, przypominał, a chatę zbudowawszy, miał się i w słotę gdzie modlić, chodząc po izbach pustych. Modlił się dużo, opędzał się myślom natrętnym, które do Sierhina latały.

Od najemnych robotników z różnych stron, od przejeżdżających, mógłby się być pewnie czegoś o Łopatyczach i Sierhinie dowiedzieć, ale nie chciał. Pocięchy ztamtąd się nie spodziewał, a smutku miał dosyć.

To zerwanie ze światem, gdyby nie modlitwa, dzikim-by go uczyniło. Człuk, że życie czemś zająć było potrzeba — ale celu w niem innego nie miał, jeno ten: aby dobić się do końca.

Rok tak przetrwał, gdy zimą go porwała tęsknica wielka, nieprzewyciężona. Nocą śnił mu się dom, syn i ów zawzięty bój z Czemeryńskim. Całe dnie snuła się przed oczyma osierociona siostra. Opędzał się pokusom jak mógł — zmogły go wreszcie: postanowił do Sierhina dojechać.

Zdawszy dom na parobka i gospodynię, zaprzął do małych sanek, któremi po swym lesie jeździł, konika, i puścił się ku Sierhinowi, tak obrachowawszy, aby nad wieczorem tam stanął.

Gdy, wydobywszy się z puszczy i przejechawszy dobry kawał polami, zobaczył wreszcie dach swój stary, sterczące nad nim drzewa i spokojną szarą wioskę, nad którą się dymy wznosiły — lży mu się niemiędkie zakręciły w oku. Sądził, że już przy su-

chych powiekach potrafi spojrzeć na to gniazdo stare; zawstydził się słabości.

Chciał zobaczyć siostrę i być jeszcze raz w Sierhinie, a bał się spotkać z synem lub synową. Tych znać nie chciał, do Erazma zaś czuł zawsze, przebaczyć mu nie mógł.

Z ostrożnością więc podjeżdżać począł ku dworowi, rozglądając się dokoła, gdy małe sanki przesunęły się mijając. Siedział w nich drzemiący Morawiec. Zakrzyczał na niego Hojski; ekonom przełakł się, jakby głos usłyszał z grobu — stanął.

Nuż z płaczem ścisnąć pańskie nogi, a gdy zobaczył Strukezaszycę ubogiego odzianego, powożąc go się bez woźnicy, stary sługa aż ryknął.

— Niema nikogo we dworze? — zapytał Hojski.

— A któżby miał być? Jedna panna tylko.

— Jedź dla bezpieczeństwa przodem; z nikim się spotkać nie chcę — rzekł Strukezaszyc.

Pośpieszył posłuszny Morawiec, choć ostrożność ta zdała mu się zbyt, bo p. Blandyna tak wolę brata szanowała, jakby on tam sam był jeszcze.

Na dany znak zajechał Strukezaszyc; wzięto konia i sanki; wszedł do sieni, a z niej wprost do pokoju siostry.

Zobaczawszy brata, p. Blandyna o mało nie omłdła ze strachu i z radości. Lecz jakże ten stary brat był różnym od uciekającego ztąd przed rokiem! Zestarzały, osiwiały, odziany nędznie, z wyrazem gorczy i bólu na twarzy, obudzał litość więcej niż strach.

— Ot widzisz asindzka — rzekł poruszony — przyjechałem dowiedzieć się do ciebie.

— Sama jesteś? — zapytał.

— Widzisz.

Potoczył oczyma.

— Mów mi — mruknął.

— Boję się — odezwała siostra.

— Gdzie oni są?

Na to pytanie p. Blandyna zrazu szukała odpowiedzi; lękała się przyznać, że folwark zatradowany odjęto.

Nie chciała też skłamać.

— Nie mogłam przed Czemeryńskim tradycy obronić — rzekła — co ja biedna kobieta poradzę? Zabrali folwarki — tam mieszkają.

Strukezaszyc obojętnie ręką zamachnął.

— Dobrze, że Sierhina nie wzięli — mruknął.

Podparł się na rękach.

— Tyś ich widziała... — rzekł cicho.

— Nie mogłam przecież uniknąć — odpowiedziała siostra. — Erazm jest nad wyraz wszelki nieszczęśliwy.

— Z żoną? — podehwylił Strukezaszyc gorąco. — Dobrze mu tak! Kara Boża! tak być powinno! tak być musi! Za ojca mści się Bóg, bo ojcem też jest, i, jak ja, ma niewdzięczne dzieci.

— Ale nie z żoną — uchowaj Boże — odezwała się p. Blandyna — ona go kocha nad życie! Nieszczęśliwy jest tem, żeś ty go odepchnął, że znać go nie chcesz.

— Ojciec? — rozśmiał się Hojski — a cóż ojciec znaczy? Na co komu potrzebny, gdy raz dziecko odhodował?

— Bracie! — zawołała Blandyna.

— Daj-że mi pokój — w tęsknicę za starym ojcem nie wierzę. Rzeka do źródła nie wraca: ku morzu płynie — odezwał się Strukezaszyc z goryczą coraz wzmagającą się. — Nie kłam, Blandyno.

— Bóg mi świadkiem — przerwała siostra żywo. — On się martwi, a ona! tego wypowiedzieć nie mogę — ona-by w ogień poszła, aby za niego przebłagać.

— O tem mi nie mów, proszę i rozkazuję! — odparł Hojski. — Ja słyszeć nie chcę — dość, lub natychmiast — jadę.

Zakrzętała się gospodyni około wieczery; trzeba było w sypialni dawnej Strukezaszycy w piecu napalić. — On siedział milczący i ponury. Był tu jakby gościem.

Gdy po wieczery otworzono mu dawne mieszkanie, ogrzane trochę, wchodząc, zawahał się na progu. — Panna Blandyna, rachując na to, że najskuteczniej będzie samą go tu ze wspomnieniami zostawić, cofnęła się zaraz.

Słyszała jak chodził dawnym swym zwyczajem, pacierze mówiąc i wdychając; serce jej biło jakąś nadzieją, że może zostanie, że zmięknie, że się da ubłagać. Lecz gdy przyszła rano, znalazła go do

drogi gotowym, zasepionym, milczącym. Pożegnał się z nią prędko, nie pytając o nic, kazał sanki przyprowadzić i odjechał.

Na kilkakrotne pytania siostry: gdzieby mieszkał? Strukezaszyc nie nie odpowiedział.

— Co ci potem! — zamruczał — nie chcę, aby o mnie ludzie wiedzieli.

Z wieczora jednak p. Blandyna tak była niespodziewaniami odwiedzinami przejęta i ożywiona, iż się jej na większą niż zwykle odwagę zebrało. Po odjeździe brata mówiła o nim z Morawcem, który nad nędznym koniem, sankami i odzieżą pańską ubolewał. Ekonom z pewnych oznak wnosił, iż Strukezaszyc nie mógł się ukrywać daleko.

— A! gdyby to dojsł! — wołała, ręce składając siostrze. Mój Morawiec, dałabym, Bóg widzi, coby kto odemnie zażądał.

Zamyślił się stary.

— Kiedy-bo to z panem trudna rzecz — rzekł cicho. Bron Boże, się wydał nieszczęście będzie.

— Żadnego nieszczęścia — zawołała p. Blandyna — dla nas i dla niego potrzeba, byśmy wiedzieli, gdzie on nieszczęśliwy się męczy.

Nie niemówiąc, wziął to Morawiec do serca. Roboty około domu nie było tak dalece, za sankami Strukezaszyca w pół godziny powlókł się konno śladem. Stary myśliwy, i sanek i konia trop i koleje dobrze rozpoznawszy, dotarł za nimi aż do Wyderki. Tu jeszcze niewyręzonego konia, którym Strukezaszyc przyjechał, zobaczył przed szopą. Miał więc pewność, że się nie pomylił.

Zawrócił do domu. Nie oznajmił zrazu o tem pannie Blandynie, bo się obawiał — zachował to przy sobie. Dopiero w tydzień jakoś, gdy mówiąc o bracie, panna Blandyna płakać zaczęła, Morawcowi też serce się poruszyło, wygadał się ze swą tajemnicą. W pierwszej chwili radości wielkiej, parę koni mu darowała ze stada gospodyni, a Morawiec, choć bardzo był z nich szczęśliwy, przestraszył się później tak wspaniałym datkiem, domyślając się, że p. Blandyna pewnie będzie korzystać z wiadomości, a jego podejście się wyda.

Trudno było cały ten wypadek w tajemnicy zachować p. Blandynie. Za pierwszą bytnością państwa Erazmowstwa, którzy ją często odwiedzali, wygadała się ze wszystkim, i z tem nawet, że o miejscu pobytu brata wiedziała — ale tego zdradzić nie chciała.

Leonilla na kolanach ją o to zaklinała — napróżno. Dowiedziała się tylko a raczej domyśliła, że tym, co doszedł kryjówki — był Morawiec.

Jakim sposobem potrafiła pani Erazmowa, w tajemnicy przed mężem, skłonić starego ekonoma, ażeby jej do Wyderki towarzyszył, powiedzieć nie umiemy.

Jednego dnia pod pozorem, że jedzie do Łopatycz do matki, p. Erazmowa wybrała się z domu, czulej niż zwykle uściśnawszy męża.

— Proszę cię tylko, gdybym się przypóźniła, nie troszcz się o mnie. Nic mi się nie stanie.

Za dworem czekał Morawiec, jednokonnymi sankami, mający jechać przodem. Leonilla, ubrana czarno i skromnie, obwinęła chustką, sama jedna, w małych sankach z woźnicą, jechała za nim.

Przed wieczorem Morawiec, odwróciwszy się, wskazał ręką na chatę w lesie, z której komina dym wzbijał się słupem. Leonilla, porzuciwszy sanki na gościńcu, poszła pieszo. Co miała w sercu, Bóg wie jeden, ale twarz i chód nie zdradzały obawy. Szła śmiało, z głową podniesioną.

Strukezaszyc chodząc po pustych izbach, zadumany, gdy w progu ukazała się nieznajoma mu postać. Chociaż widywał Leonillę w kościele, na pierwsze wejrzenie wydała mu się obcą. A że wśród tej pustyni nikt nigdy się nie pokazał, nawet zbłąkany podróżny, stary przeto stanął zdziwiony niezmiernie.

Przyszło mu na myśl, że komus przejeżdżającemu przypadek trafić się musiał na drodze.

Wtem, zrzucając z siebie chustkę, śmiałym krokiem kobieta zbliżyła się do niego, i w chwili gdy, przerażony, poznał w niej sędziankę, leżała już u nóg jego.

— O litość przysłałam cię prosić — zawołała, składając ręce — nienademną, — jam winna, ty mi nie możesz przebaczyć, jam ci odebrała syna — ale nad tem nieszczęśliwym dziećciem twem, które z bólu usycha! Uratuj mi męża! Ulituj się nademną!

Cały drżący Strukezaszyc stał osłupiały — gniew najpierw nim poruszył wielki i miał wybuchnąć, gdy synowa objęła nogi teścia.

— Przebacź jemu! jam winna! Ja go skusiłam, jam wciągnęła, miałam nadzieję, że dla miłości jego mnie przebaczysz. Nie karz nas, zlituj się i bądź miłosiernym!

Strukezaszyc bełkotał coś niezrozumiałego, zaslaniając sobie oczy.

— Erazmowi przebacź! Jeśli ci nienawistna, nigdy ci się nie pokażę na oczy, zniosę twój gniew z pokorą. Jemu wróć serce ojcowskie!

Hojski łkał, poruszony mimowoli, chylił się, chcąc podnieść klęcząc.

— Nie wstanę od nóg twoich, aż mu przebaczysz! Głos poruszający, płacz kobiety, przypomnienie syna, — złamały w końcu Strukezaszyca.

— Gdzie on jest? — zawołał słabym głosem.

— On nie śmiał stanąć przed tobą, nie wie nawet żem tu przybyła! Jeśli litujesz się nademną i nad nim — pozwól, bym cię zabrała z sobą. Przywiozę mu szczęście, a sama do zgonu ci będę wdzięczna.

— Daruję — przebaczam, wyjąknął ręce wyciągając Hojski. Bóg z wami! Niech wszystko będzie zapomniane!

Leonilla porwała się ręce jego całować; starzec osłabły musiał sięgnąć, aby siłę odzyskać.

Ta śmiałość, z jaką synowa gonila za nim, i niezrażona jego surowością, gotowa była znieść nawet nielitościwe odtrącenie — zwyciężyła Strukezaszyca.

(Dokończenie nastąpi)

OLBRZYMIE SŁOŃCE

z dzieła R. A. Proctora:

„Our place among infinities“.

Czytelnicy nasi zdziwią się niepomale, wycytawszy powyższy tytuł, dowiedzą się bowiem, iż istnieje w przestworze ciało niebieskie, wobec którego słońce nasze małym tylko karłem się wydaje. Jakkolwiek wielką jest objętość Jowisza, to jednakże tak ona maleje wobec wielkości naszego słońca, iż tysiąc Jowiszów razem zbitych ledwie wyrównałoby słońcu na objętość i na wagę. Ciało niebieskie, o którym mówię zamierzam, jest pod względem wielkości w takim stosunku do słońca, w jakim to ostatnie do Jowisza, a Jowisz do naszej ziemi. Słońce nasze porusza się w przestworze wraz z całą rodziną towarzyszących mu planet z szybkością prawdopodobną 400 kilometrów na minutę; słońce olbrzymie, które opisywać będziemy, ma bieg bezporównania szybszy.

Czytelnik, który w początku Lutego 1871 roku w pogodny wieczór koło godziny dziewiątej wzrok swój na południową stronę horyzontu zwrócił, dostrzegł dwie gwiazdy, które blaskiem swoim wszystkie inne gasiły. Wysoko na niebie, niedaleko od Castora i Polluxa, jasno świecił Jowisz, a jego światło zaćmiewało wszystkie sąsiadujące z nim gwiazdy. O wiele niżej tej pięknej planety, na linii prawie pionowo spadającej, widoczną była gwiazda, która, jakkolwiek tak jasno nie świeciła jak Jowisz, jednakże pięknością o wiele go przewyższała. Gwiazda ta przez starożytnych „Psią gwiazdą“⁽¹⁾ nazwana, wypromienia światło, którego barwa co chwila się zmienia; wydaje się ono raz czerwone, przechodzi potem w barwę zieloną, dalej w szafirowo-niebieską; kolory te są bardzo krótkotrwałe, kolor biały przeważa i trwa dłużej od innych. Poeeci wszystkich epok znali tę szczególną własność Syryusza i był on przedmiotem ich uwielbienia.

Trudno sobie wyobrazić, że gwiazda ta, która, przez najsilniejsze lunety widziana, zawsze tylko jako punkt świecący się przedstawia, jest tak ogrom-

na i tak wielką ilość światła wydaje, że gdyby się znajdowała na miejscu naszego słońca, to istnienie na naszej ziemi byłoby niemożliwym, gdyż wszystko-by na niej spaleniem uległo. Nim przystąpię do opisu tej pięknej gwiazdy i rezultatu ostatnich nad nią badań astronomicznych, wspomnę pokrótce o pojęciach, jakie w dawnych czasach o niej sobie tworzone i o znaczeniu, jakie do niej przywiązywano, co tembardziej jest potrzebnem, iż, jeżeli wiary damy rozmaitym przekazanym nam opisom, to Syryusz w przeciągu ostatnich 2000 lat rozmaitym, najdziwniejszym, ulegał zmianom.

Przedewszystkiem na uwagę zasługuje, że w starożytności porównywano wpływ Syryusza na naszą ziemię z wpływem słońca, tak np. przypisywano tej gwiazdzie niezdrową pogodę, jaką w pewnych okolicach Włoch w miesiącach jesiennych nastaje.

W Egipcie, przeciwnie, przypisywano Syryuszowi wylewy Nilu i błogie wynikające ztąd następstwa, skutkiem czego czczono tę gwiazdę jak bóstwo.

Tak zwane „Psie dnie“ (*dies caniculares*) rozpoczynają się w tej porze roku, w której wschodzący Syryusz wskutek swego blasku widzialnym był już wtedy, kiedy jeszcze żadna inna gwiazda na niebie widzieć się nie dawała. Dlatego złe skutki, które Syryuszowi przypisywano, odnoszono nie do tego czasu, kiedy ta gwiazda najjaśniej w nocy świeciła, lecz do tego kiedy we dnie już na widnokręgu się znajdowała.

Jakkolwiek trudno jest pojąć, dlaczego w starożytności promieniom Syryusza przypisywano własność sprowadzania rozmaitych dobrych lub złych następstw, to jeszcze bardziej jest zastanawiającem, że Maniliusz, uprzedzając badania o wiele późniejszych astronomów, twierdził, że Syryusz świeci własnym swoim światłem, które pod względem natężenia nie ustępuje światłu słonecznemu i wydaje nam się tylko słabszem z powodu wielkiej odległości tej gwiazdy od ziemi.

Kwestya: czy Syryusz, jak to niektórzy utrzymują, od czasu starożytnych astronomów, kolor swój zmienił? — jest niesłychanie ważną i zajmującą, ale, na nieszczęście, bardzo trudną do rozstrzygnięcia.

Gdyby w starożytności starannie badano i opisywano zjawiska na niebie, to niezawodnie niejednen wynik, do którego dzisiaj po długich i kłopotliwych staraniach dochodzą, byłby z łatwością osiągnięty. Należy tu przedewszystkiem zaliczyć kwestyę: czy która z jaśniej świecących gwiazd kolor swojego światła w przebiegu czasu zmieniała?

Jeżeliżmiany takie wogóle się dokonywały, to są one niezawodnie bardzo nieznaczne i powolne. Rzecz to bardzo trudna do ocenienia z powodu, iż nie można wiedzieć czy umysł spostrzegawczy badacza przez cały przeciąg czasu nie uległ zmianie. Trudność staje się jeszcze większą, jeżeli kilku badaczy sprawą tą się zajmowało, gdyż trudno znaleźć dwie osoby, któreby jednakowo rozmaite odcienie kolorów oceniali.

Z drugiej strony jest to możliwem, że w przeciągu naprzykład 2000 lat nastąpiły w świetle gwiazd pewne zmiany o tyle przynajmniej znaczne, iż nie mogły ująć uwagi badaczy. Gwiazda, która kiedyś wyraźnie światło czerwone lub żółte wydawała, może w następstwie czasu świecić światłem białem albo zielonem lub t. p. Gdyby więc Starożytni pozostawili nam byli dokładne wiadomości o kolorze światła głównych gwiazd, to byłibyśmy w stanie orzec: o ile która z tych gwiazd kolor swój zmieniła.

Na pierwszy rzut oka zdaje się, wnosząc z opisów dawnych Syryusza, iż kolor światła tej gwiazdy zmianie uległ. Obecnie światło jego niezaprzeczenie jest białe, a Aratus i Ptolemeusz, Seneka i Cycero, Wirgiliusz, Horacyusz i Owidyusz używają jednoznacznie wyrażen, wskazujących, iż światło syryuszowe było czerwone, a nawet przechodziło w szkarłat.

Ptolemeusz stanowczo utrzymuje, że Syryusz jest takiego samego koloru jak Antares, serce Skorpiona, którą to gwiazdę nieraz „Czerwonym Syryuszem“ nazywają, a Seneka powiada, że czerwoność Syryusza wyraźniejszą jest od czerwoności Marsa. Na nieszczęście żadnej pewności nie mamy czy wspomniana, czerwoność nie jest zwyczajnym czerwonym odbłaskiem, którego wszystkie gwiazdy kiedyniekiedy w bliskości poziomu nabierają.

(1) „Canicula“ ztąd *Kanikula*, skwarna pora roku, „Opora“ Greków, od 23 Lipca do 23 Sierpnia; w której słońce przechodzi pozornie przez gwiazdozbiór Lwa i najbliżej Syryusza się znajduje. (Prz. Red.).

Gdyby którykolwiek z owych autorów wyraźnie był opisał jakim światłem świeci Syryusz w chwili kiedy się znajduje tak wysoko na horyzoncie, iż bez migotania nam się przedstawia, to wiadomość taka byłaby dla nas nieoszacowaną, nie tylko dla oceny światła gwiazd, ale i własności słońca. Uznajmy na chwilę za rzeczą dowiedzioną, iż Syryusz przed 2000 był gwiazdą czerwoną; w takim razie musielibyśmy mieć pewną obawę, żeby i nasze słońce z czasem nie stało się czerwone, co byłoby kwestią niesłychanej wagi dla całej ludzkości, ponieważ kolor słońca stoi w ścisłym stosunku z ilością i jakością promieni, jakie ono wydaje. Promienie słoneczne dostarczają nam światła, ciepła i siły działalności chemicznej, a rozmaite te własności promieni słonecznych stoją w związku z kolorem czerwonym, żółtym i błękitnym widma słonecznego, mianowicie: część widma czerwona i pomarańczowo-zabarwiona więcej grzeje niż świeci, a działanie jej chemiczne jest prawie żadne; promienie pomarańczowej, żółtej i żółto-zielonej części widma dają więcej światła aniżeli ciepła i siły chemicznej; na koniec promienie niebieskiej, ciemno-błękitnej i fioletowej części widma mają wielką siłę chemiczną, dają mało światła i prawie wcale nie wydzielają ciepła. Gdyby więc słońce nasze zmieniło swój kolor, to promienie jego miałyby więcej ciepła, albo może posiadałyby większą siłę chemiczną, a niewiadomo czy zmiana taka korzystnie na mieszkańców ziemi-by wpłynęła.

Zauważyć należy, iż w kwestyi: o ile Syryusz kolor swój zmienił lub nie? — ważną jest okoliczność, że niektóre zmienne gwiazdy stałe kolor swój zmieniają, ale w tak krótkim przeciągu czasu, że nie można dokonać porównania pomiędzy tą ostatnią zmianą a przypuszczalną zmianą Syryusza w ostatnich 2000 lat. Piękna gwiazda Mira w Wielorybie jest żółtawą, kiedy światło jej się zmniejsza, a wmiarę zwiększania się natężenia światła nabiera napowrót białego zabarwienia.

Przejdziemy teraz do doświadczeń nowszych astronomów o naturze i fizycznym składzie tego wspaniałego ciała niebieskiego.

Z powodu wielkiego światła, jakie Syryusz wydaje, przypuszczano początkowo, iż jest on daleko bliższym ziemi aniżeli inne gwiazdy. Syryusz ma takie położenie na niebie, że obserwowanie go z Europy bardzo jest niedogodnym i kiedy astronomowie poraz pierwszy usiłowali zmierzyć odległość gwiazdy stałej od ziemi, nie wybrali Syryusza do tego doświadczenia. W następstwie czasu wyrobiło się przekonanie, iż jakkolwiek mogłaby być odległość innych gwiazd obserwowanych, to odległość Syryusza od ziemi zawsze jeszcze mniejszą być musi.

Kiedy przystąpiono do rozstrzygnięcia największego zadania, jakie kiedykolwiek astronomowie mieli do spełnienia, przekonano się, iż Syryusz wcale nie jest najbliższym położonym ze wszystkich gwiazd stałych.

Przyszli nawet astronomowie do ogólnikowego wniosku, że z jasności światła danej gwiazdy nie można wcale o jej odległości od ziemi wyrokować. Pierwsza gwiazda, której odległość w rzeczy samej obliczoną została, może być widzianą przez osoby ze zwyczajną bystrością wzroku, tylko w nocy bardzo pogodnej i kiedy księżyc wcale nie świeci; a gwiazda, którą się po tamtej najwięcej zajmowano i którą uważają za najbliższą ze wszystkich gwiazd, jest wprawdzie świetną, ale światło jej owiele nie dochodzi światła Syryusza. Po pierwszych obliczeniach odległości Psiej Gwiazdy, poznano jeszcze trzy inne ciała niebieskie, które dla gołego oka nie są widoczne, a które bliżej nas leżą, aniżeli najjaśniejsza ze wszystkich gwiazd stałych.

Wskutek nowszych, dokładnych, badań przekonano się, iż odległość Syryusza od ziemi, zbyt wysoko dawniej była oceniana i że gwiazdzie tej należy się trzecie miejsce pomiędzy gwiazdami, których odległość od ziemi udało się dotychczas astronomom obliczyć. Według ostatnich obliczeń Syryusz położony jest o 139 bilionów kilometrów od ziemi, kiedy odległość najbliższej ze wszystkich gwiazd, o ile wiadomo, mniej więcej na 35 bilionów kilometrów podaną być może.

Mówiliśmy wyżej o dawniejszym wadliwym obliczeniu odległości Syryusza; nie od rzeczy będzie

z przyczyną i wielkością popełnionego błędu bliżej się zapoznać.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

„Kwiat Tlemcenu“, obrazek dramatyczny pp. E. Legouvé i Prospera Mérimée — przedstawiony poraz pierwszy na scenie Teatru Letniego d. 20 Czerwca r. b.

P. Tatkiewicz rozpoczął reżyserję pod dobrą gwiazdą. Nietylko bowiem już sam wybór sztuki o której zaraz powiemy, ale i wykonanie w całości, a przede wszystkim to, co się liczy w zakres reżyserkiej działalności, to jest scenerya i bardzo gustowne urządzenie sceny, na najzupełniejszą zasługują pochwałą.

Jeden z najznakomitszych literatów francuzkich, autor sławny *Colomby* i *Carmen*, znany głównie jako romansopisarz a raczej jako opowiadacz niezrównany, Prosper Mérimée, rzadko kiedy przerzucał się na pole dramatyczne. Wyjątkowo uczynił próbę na spółkę z Legouvém, i ta próba wypadła tak pomyślnie dla obydwóch, a conajważniejsza, tak jednolicie, że trudno byłoby najbystrzejszej analizie oddzielić twórczość jednego od drugiego. Jest to tem dziwniejsze, że *Kwiat Tlemcenu* nie należy ani do rodzaju zawikłanych komedij, w której jeden krzesze charakter a drugi stwarza intrygę, ani do melodramatów, w których spółkowa robota najłatwiejsza, ani wreszcie do żadnych większych dzieł sceniczych, posiadających jakieś pretensje społeczne lub psychologiczne.

Obrazek to świeży, przenikniony poezją, rozwijający się z wielką naturalnością i swobodą, dochodzący pod koniec do kolizyj prawdziwie dramatycznej, chociaż rozwiązujący się komedjowo, — co prawda, zanadto komedjowo.

Autorowie obrali sobie przedmiot, napozór niezmiernie wdzięczny i ponętny, rozsuwający się z lekkością i swobodą, obejmujący w sobie bardzo wiele powabnych pierwiastków, bo i humor i tkliwość nagłą, szczerą, płynącą wprost z serca, — w rzeczywistości jednak mogący się stać ślizkim, niebezpiecznym i zuchwałym, gdyby nie pióro wykwiłtne, nie smak wysoko-artystyczny obydwóch tych pisarzy.

Pod piórem naprzykład Dumasa syna, miłość matki i córki skierowana ku jednemu mężczyźnie, wyrodziłaby sytuacją niezmiernie drastyczną, którejby nawet najświetniejszy paradox nie osłonił; pod piórem realistów bezwzględnych, urosłaby w obraz odstręczający prawdą codzienną a przygniatającą; pod piórem wreszcie! O. Feuilleta w „Julie de Trécoeur“ staje się ona, o ile sobie przypominamy, czułościowością przygotowaną, obmyśloną naprzód i prawie wyrafinowaną. Tutaj, chociaż biorąc ściśle psychologicznie, rozwiązanie zdaje się cokolwiek zagadkowym, niezupełnie nawet zadawalniającem, jak rzekliśmy czysto-komedjowym, jednak odnosząc je do wyższej zasady moralnej, jaką jest szlachetna miłość macierzyńska, można i na nie się zgodzić.

Wreszcie to zakończenie nagłe i niespodziewane, a dlatego właśnie, scenicznie biorąc, efektowne, okupione jest całą osnową poprzednią, niezwykle kunsztowną, a czasem porywającą. Widzimy się bez długich expozycji, co prawda niemożliwych w jednoaktowym utworze, przeniesionymi odrazu w atmosferę istotnego salonu pani margrabiny de Rochemond, jej córki Julii, i jej anioła stróża, w osobie sztywnej angeliki Miss Jackson.

Margrabina jest jeszcze bardzo piękna, choć ma 40 lat, obraduje z jakimś sekretarzem Towarzystwa filantropijnego nad regulaminem ochrony dla dziewcząt, lecz całą powagę tych obrad psuje Julia, która co moment przerywa im swoimi uwagami pełnemi humoru i szczerości, a niezmiernie gorszącymi pana sekretarza.

Obie jednak, matka i córka, oczekują przybycia dawnego znajomego, pułkownika Saqueville, którego synowiec jest już zaręczony z Julią.

Pułkownik jest bardzo dawnym i bardzo dobrym

znajomym margrabiny. Znajomość ta, zdaje się, była dosyć kłiwej natury. Pułkownik bowiem nie ożenił się dotąd, choć już czas pierwszej młodości przeszedł i włos mu gdzieś pobielał, a margrabina otoczyła się wszelkimi wspomnieniami, mogącemi jej uwidomić postać pułkownika, walczącego z Beduinami w Algierji.

Córka wie o tej słabości swej matki, a jednak wspomina o niej żartobliwie, jakgdyby ją to niewiele obchodzić mogło. Z jej ust dowiaduje się o tem pułkownik, którego ona pierwsza przywitała. Z jej ust dowiaduje się wielu jeszcze innych rzeczy, które go jednak zdają się o tyle tylko zajmować, o ile dotyczą samej margrabiny. O nią dopytuje się ciągle, oczekując niecierpliwie jej przybycia.

Prawda, że mu niezmiernie mile skraca czas to dziewczę żywe, pełne zapału i wybuchów wesołości, przeplatanych najszczerzą rzewnością.

A kiedy niedługo potem, poszli oboje wraz z nieodstępną Miss Jackson przejechać się czółnem po stawie, i kiedy ztamtąd wróciła Julia, opowiadając z nieporównaną werwą, jak umyślnie chwiała czółnem, żeby nastraszyć narzeczonego, którego posadza o tchórzowstwo i żeby podziwiać odwagę i przytomność pułkownika, który wskoczył do stawu i czółno przyciągnął do brzegu, — wtedy widz domyslać się zaczyna, że tej figlarniej i trzpiotowatej panience pułkownik zajął nader silnie wyobraźnię — a kto wie — może i serce.

I nie omyliły się, bo kiedy margrabina po długim wahaniu, decyduje się nareszcie przystać na prawdopodobne prośby pułkownika, i wydawszy córkę za jego synowca, jemu samemu oddać swą rękę wraz z dawno już pozyskanem sercem, — w tym samym czasie, Julia obmyśla stanowczo plan wyznania otwarcie temuż pułkownikowi, że kocha go jedynie a nie papinkowatego synowca.

I w tym celu zapytuje go, w jaki w sposób w Algierji, objawiają miłość swą kobiety mężczyźnie. Pułkownik odpowiada, że gdy raz jechał ze swym adiutantem, piękna dziewczyna z Tlemcenu rzuciła mu kwiat... ale jeszcze nie skończył, gdy Julia rzuciła mu swój bukiet i znikła.

Pułkownik zdziwiony a może wzruszony, więcej aniżeli sobie tego życzył w chwili gdy tu przybył, nie podnosi tego bukietu i wychodzi z zamiarem odjechania natychmiast.

Lecz nieszczęsna margrabina słyszała wszystko z drugiego pokoju; wchodzi, podnosi ten bukiet i zapytuje się ze drżeniem: czy dzieć jej kocha rzeczywiście pułkownika, czy też działa jedynie pod wpływem kaprysu i pustoty, tak jej właściwej?

Bada nadchodzącą na to Julią i przekonywa się z bólem serca, że nie jest to kaprys, ale miłość prawdziwa.

Jak sobie teraz postąpi ta kobieta, która kochała lat tyle tego człowieka, bo jeszcze wtedy, gdy była żoną innego, a która teraz z najpełniejszą nadzieją oczekiwała chwili połączenia?

Ciekawość trzyma widza w naprężeniu. Żal mu tej kobiety i żal tego dziewczęcia. Kto rozstrzygnie — i czy na rozstrzygnięcie zgodzi się mężczyzna?

Oczekają obie — otwierają się drzwi — wchodzi pułkownik. Margrabina zakrywając umyślnie czepek piękne swoje włosy, powiada: „Zmieniłam się nieprawda? — widzę to po pańskiej twarzy“ — i z heroicznym uśmiechem wskazuje na córkę, mówiąc, że w jej młodości odnajdzie to, na co czekał tak długo, to jest ziszczenie się marzeń.

A z gestu pułkownika, który zakończył ten utwór, domyslać się trzeba, że on niema nic przeciw temu postanowieniu. Więc tyle lat kochał, i w miłości najwierniejszej, w pośród gradu kul i trudów wojennych wytrwał, na to, ażeby w jednej godzinie zmienić to uczucie całego życia, uczucie, z którym właśnie ludzie dojrzałego wieku a jeszcze do tego dzielnego charakteru, nie rozstają się już aż do śmierci!

I ta margrabina, która czyni tak szczytną ofiarę ze swej miłości na ołtarzu macierzyństwa, jestże pewną, iż pułkownik zapewni szczęście córce, albo sam nie zmieni się raz jeszcze?

Ze stanowiska przeto psychologicznego i prosto logicznego, zakończenie wydało nam się sztucznym naciągnięciem, chociaż efektownem i dlatego

nazwaliśmy je komedyowem, rozumiejąc pod tem rozwiązanie komedyowe dawnej szkoły.

Lecz całość nietylko słucha się mile i z wielkiem zajęciem, ale coważniejsza w jednoaktowym utworze, charaktery kobiece chociaż tylko szkicowane, ukazują się jednak nadzwyczaj wyraziście, bo i ta matka, młoda jeszcze, oddająca marzenie całego swego życia dla szczęścia swego dziecka, i ta dziewczyna, która nie może się zakochać w młokosach ubranych elegancko, a niemających ani serca, ani rozumu, ani wybitnych znamion męskiej dzielności, — przemawiają żywo nietylko do naszej wyobraźni, ale i do naszych przekonań. A nawet Miss Jackson, choć szkicowana cokolwiek ze strony karykaturalnej, pociąga nas swą dobrocią i sztywnością, wynikłą z wysokiego pojęcia o swem posłannictwie jako opiekunki młodej panny.

Przyznać też trzeba, że takiej grze doskonałej wszystkich osób, biorących udział w tej sztuce, a zwłaszcza p. R. Popielówny i pani Rakiewiczowej, przypisać należy bezwarunkowe powodzenie, którym się „Kwiat z Tlemenu“ długo cieszyć będzie.

Potrzeba widzieć i słyszeć pannę R. Popiel, ażeby ocenić dobrze poetyczną excentryczność Julii, ażeby uwierzyć, że to dziewczę istotnie przez trzy lata marzyło o tym nieznanym pułkowniku, a, ujrzawszy go, odrazu uznało w nim swego pana. Szczegółów i rozmaitości w tej roli jest bardzo wiele; wszystkie one potrzebne do wytworzenia pełnej całości, wszystkie też oddała artystka znakomicie.

Niemniej i pani Rakiewiczowa stworzyła piękną postać i dowiodła znowu, o ile współudział jej częstszy w repertoarze naszego teatru, byłby odżywiającem i zbawiennym. Nie rozumiemy tylko dlaczego jest tak wytrwale odsuwana od niego.

Pani Ostrowskiej (Miss Jackson) udało się bardzo dobrze odtworzyć postać obcą w charakterystycznych odcieniach. Nareszcie i p. Leszczyński, jako pułkownik de Saqueville, był w całym znaczeniu tego słowa dzielny i sympatycznym pułkownikiem, o którym przypuszczać godziło się, iż rzeczywiście nieraz narażał swe życie w gorących piaskach Afryki.

E. Lubowski.

HISTORIA ZBRODNI

TOM II.

DZIEŃ CZWARTY.

Zwycięstwo.

(Dalszy ciąg).

Kiedy komitet oporu, na posiedzeniu, na którym złożono z władzy Bonapartego, posługując się prawem dyskrecjonalnem, rozporządził, iżby wszystkie podpisy deputowanych umieszczone były na dekrete, rozporządził rzecz śmiałą, gdyż nie zatajał tego, że przedstawiał zwyciężkiemu zamachowi stanu, listę gotową, a może i nie był pewnym, czy kilku przeciw temu, nie zaprotestuje. Nazajutrz też, otrzymaliśmy dwie skargi. Pochodziły one od dwóch opuszczonych na liście i żądających zamieszczenia. Tych dwóch reprezentantów, przywracam do ich praw wygnańczych. Zwa się: Anglade i Pradié.

Od 2 do 5 Grudnia, przedstawiciele lewicy i komitetu szpiegowano, ścigano, trzymano w zawieszeniu pewnej śmierci, a oni — celem narady — przenosili się w 27 domów różnych, odmówili schro-

nień które im ofiarowano na lewym brzegu, chcąc pozostać w pośrodku walki... Wszystko groziło im niebezpieczeństwem; ich znane fizyognomie, ich liczba, nawet przedsięwzięte przez nich ostrożności.

Na ulicach ludnych niebezpieczeństwo, policya stała tam ustawicznie, na pustych, niebezpieczeństwo, bo tempredziej podejrzewano łada poruszenie.

Nikt z nich nie spał i nie jadł — nikt nie czuł zmęczenia, bo niebezpieczeństwo publiczne trzymało ich w naprężeniu jak gorączka.

„Szanowny nasz kolega, Lammenais, nie przybył, ale przez trzy dni nie kładł się spać, zapięty w swój stary surdut i gotów do marszu.“ Napisał do autora tej książki, trzy słowa następne: „Wyście bohaterami bezemnie. To mnie boli. Czekam waszych rozkazów. Użyjcież mnie do czego, choćby do tego, ażeby umrzeć“.

Na zebraniach, każdy zachowywał się jak zwykle. Można by rzec, że jestto posiedzenie regularne w biurach Zgromadzenia. Panował tu spokój i energia. Edgar Quinet zawsze przytomny, Parfait zawsze ożywiony, Yvan zawsze przenikliwy i inteligentny, Piotr Léfranc pamphleciarz i piosenkarz, lecz pamphleciarz na wzór Couriera a piosenkarz na wzór Bérangera, uśmiechał się gdy przemawiał z surową powagą Dupont du Bussac. Cała ta grupa tak świetna, młodych mówców lewicy, Bancel w swej potężnej poręczności, Versigny i Wiktor Chauffour w swej śmiałości młodzieńczej, Sain ze swą zimną krwią znamionującą siłę, Farconnet w swem energicznym natchnieniu, — zdawali teraz siły przeciw oporowi, czy to w naradach, czy wśród ludu, składając przez to dowód, że ażeby być mówcą, potrzeba mieć wszelkie warunki walczącego. De Flotte, niezmordowany, gotów na wszystko, Xawery Durrieu, dzielny, i Dulac i Charamaule.

(Tu autor sławiąc odwagę tych deputowanych, wchodzi w drobiazgi istotnie niezajmujące i przydatne raczej do epopei aniżeli do pamiętnika; opuśćmy więc dwie całe strony, i mówmy dalej):

Wiedzieli oni, że mieli do czynienia z człowiekiem, który rzekł: *Zgnieście wszystko*. Znali krwawe słowa tak zwanego ministra Morny. Te słowa przemieniły obwieszczenia Saint-Arnauda w dekreta, a przetłómaczyły na rzezie. Wiedzieli wszyscy, że gdziekolwiek zostaną schwytani, będą na miejscu rozstrzelani lub pokłuci bagnetami. A mimo to na twarzach ich malował się spokój pogodny, dochodzący do wesołości. Śmiano się chętnie, to z kapelusza na zamienionego na barykadzie, to z tuzurka rozdartego. Kiedy raz wszedł Mathieu de la Drôme, ogoliwszy swą brodę, ażeby nie być poznany na ulicy, krzyknął nań Michał de Bourges: Masz minę arcybiskupa! i wszyscy śmiać się zaczęli serdecznie, — niezapominając przytem, że każdy zasłyszany szmer śmierci im może przynosi.

Wszyscy byli na faszce przypadku. Kilka razy nie pochwycono ich tylko dlatego, że niektórzy policjanci mieli skrupuły (a gdzież u dyabła gnieźdzą się te skrupuły?) czy też z tej przyczyny, iż wątpili w powodzenie, a więc bali się ich jako zwycięzców. „Gdyby był chciał kommissarz policji Vassal, który nas spotkał 4, na ulicy des Moulins, byłby nas tego dnia wyłapał wszystkich. Ten nas nie zdradził. Ale były to tylko wyjątki. Policya bowiem tropiła nas zawzięcie.“

Pomiedzy deputowanymi był i Bastide, który w 1848 r. sprawował urząd ministra spraw zagranicznych. Zarzucano mu raz niektóre z jego czynów.

— Pozwólcie mi naprzód, żebym zginał — rzekł — a potem będziecie mi stawiać zarzuty. I dodał: Jakże możecie mi nienafć skoro jestem republikańcem do szpiku kości?

Bastide nie pozwolił ruchu naszego nazywać rewolucją, ale kontr-rewolucją, bo rewolucjonista — mówił — siedzi w Elizeum.

Był on też w walce zimnym i nieustraszoną. Na barykadzie S-go Antoniego, w chwili gdy karabiny

wymierzono przeciw deputowanym, rzekł on z uśmiechem do Madier de Montjau: — Spytaj się też pan Schoelchera, co myśli o zniesieniu kary śmierci?

Na innej barykadzie Bastide, zmuszony oddalić się na chwilę, położył swoją fajkę na bruku. Znalazłszy ją więc, myślano, że Bastide zginął.

Tymczasem nadszedł gdy kartacze grały i zapytał: „A gdzie fajka?“

Zapalił ją nanowo i bił się. Dwie kule przeszły mu płuca.

Kiedy już pobudowano barykadę, deputowani republikańscy rozeszli się na różne strony. Prawie wszyscy albo ich bronili, albo je budowali.

Schoelcher na barykadzie S-go Antoniego, Esquiros na ulicy de Charonne, de Flotte w Panteonie, M. de Montjau w Belle-ville i na ulicy Aumaire, Doutre i Pelletier w merowstwie V okręgu, Brives na ulicy Beaubourg, Arnold de l'Ariège na ulicy Petit-Reposoir, Vignier na ulicy Pagevin, Versigny na ulicy Joigneux (?), Dupont de Bussac około S-go Marcina, Carlos Fovel i Boyssset na ulicy Rambuteau. Doutre otrzymał cięcie szablą, Boursat cztery kule w paltot, Baudin został zabity, Gaston Dussoubs, jako chory, nie przyszedł, zastąpił go, jak widzieliśmy, brat jego Dyonizy — gdzie? W grobie.

Baudin padł na pierwszej barykadzie, Dussoubs na ostatniej.

— Mnie — mówi W. Hugo — trafiły tylko 3 kule w paltot... (Bardzo szczęśliwie, chociaż w tym wypadku wszystko jedno, ile kul *trafiło w paltot*).

Po bitwie nie było ucieczki. Wszyscy pozostali ukryci w Paryżu, gotowi ukazać się nanowo. Zebraliśmy się jeszcze — mówi W. Hugo — t. j. ja, J. Favre, Michał de Bourges u dzielnej kobiety, pani Didier, wieczorem o 11 godzinie, w sobotę w d. 6 Grudnia.

Spodziewaliśmy się jeszcze odżywienia walki w dniu 9, ale nadaremnie, 4 Grudnia sterroryzował Paryż. Lud się nie ruszał, a deputowani pomysłili o swem ocaleniu dopiero w kilka dni później, kiedy ostatnia iskra oporu zgasła w sercu ludu, a ostatnie światło nadziei — w niebie.

Kilku z deputowanych było rzemieślnikami; zostali nimi napowrót na wygnaniu. Nadaud chwycił za kielnię i jest mularzem w Londynie, Faure nożownikiem, Bausept szewcem — wszyscy w Anglii.

Greppo — tkaczem. On-to jako wygnaniec pracował nad suknią koronacyjną królowej Wiktorii. Noël Parfait jest zecerem w Bruxelli, Agrikol Perdiguer jest stolarzem w Antwerpii. Wczoraj wszyscy oni siedzieli w Zgromadzeniu wszechwładnem. Takie rzeczy czytać można w Plutarchu.

Wymowny i odważny wygnaniec Emil Deshanel, stworzył w Bruxelli nowy sposób nauczania publicznego, to jest: odczyty. Jemu to zawdzięczyć trzeba zaszczyt tego pomysłu, tak pożytecznego.

Powiedzmy w końcu: Zgromadzenie Narodowe żyło źle, ale umarło dobrze.

W chwili upadku prawica okazała się dostojną, lewica — wielką.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 26-ty powieści pod tytułem: Zamek Daly.

TREŚĆ. Dwaj myśliciele francuzcy z XVIII wieku, przez S. K. — Vanina Ornano, dramat, przez J. K. S. — Pogawędka. — Sąsiedzi, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Olbrzymie słońce z dzieła Proctora. — Przegląd teatralny, przez Edwarda Lubowskiego. — Historia zbrodni, W. Hugo (dalszy ciąg), przełożył Edward Lubowski.